

Urodziłam się 4 grudnia 1927 roku w Bobińce w ZSRR, w leśniczówce, ponieważ mój tatuś był leśniczym. W czterdziestym roku, dziesiątego lutego przyszli Sowieci. Oczywiście wiedzieliśmy, że to Sowieci, ponieważ byli w mundurach rosyjskich i w czapkach z gwiazdkami. Kazali nam się zbierać w nocy. Oczywiście z bronią byli i kazali nam się zbierać, że na przesłuchanie. No i musieliśmy się zbierać. Ale nic nie wzięliśmy, tak nas zabrali. Kiedy zajęchaliśmy na dworzec do Brześcia tam było bardzo dużo ludzi jak i my, zabranych. I widzieliśmy, że bardzo dużo ludzi miało dużo rzeczy zabranych, a my - jak stoimy. No, ale już było po wszystkim, zakładowali nas do takich wagonów zakratowanych, co kiedyś wozili i teraz też w nich wożą świnie, krowy, w ogóle bydło. Te wagony były zakratowane. I były porobione prycze, tak, że to podwójne jakby były wagony; na środku dziura wypiłowana w podłodze, stał piecyk; jeśli ktoś potrzebował swoje sprawy fizjologiczne załatwić, to musiał właśnie do tej dziury iść, no, naturalnie, tylko siusiu zrobić. Ale jeśli chodzi o inne sprawy, to gdy zatrzymywał się pociąg to wchodzili ruscy żołnierze i mówili: "Proszę wysiadać, kto potrzebuje za swoją potrzebą". Więc wysiadali, pod wagon szli i tam po prostu załatwiali się. No i tak jechaliśmy przez miesiąc czasu w zakratowanych tych wagonach i w tych pociągach. Po miesiącu czasu przeładowali nas na ciężarówki. Ciężarówkami nas wieźli po zamarznętej rzece między górami. Ale to dwie doby. Ta rzeka nazywała się Kieja. Ona była tak, jak serpentyna między górami, ale ona była zamarznęta ~~xxxx~~ oczywiście i po niej szły transporty właśnie z nami. Zawieźli nas po dwóch dobach. Stali już przygotowane sanie i znowu nas przeładowali. Na te sanie. I nas wieźli

w bok siedemnaście kilometrów. Jak nas zawieźli tam już były pobudowane baraki dla Polaków, oczywiście tak jak oni twierdzili, że są to baraki pobudowane dla Polaków. Baraki były pobudowane z okraglaków, gdzie latem, gdy oni budowali, mchem przetykali belek od belka. Gdy było ciepło mech ten wysechł, zimą wywiało i były szpary. Myśmy, jak do tych baraków nas wprowadzono, to było podzielone na kajuty, tzw. pokoje. W każdym pokoju stały w każdym rogu prycze drewniane, gołe oczywiście, i na te prycze, kto miał, swoje jakie osobiste rzeczy kładł i na tym spał. Na środku stał też żelazny piecyk, żelazne wiadro i kubek żelazny, i kupa chrustu, żeby od razu można było rozpaścić. W ten sposób myśmy przenocowali noc. Rano już do nas słońce zaglądało. Nie przez okna, oczywiście, tylko przez te szpary, które między tymi belkami były. Zbiórka była rano tzw. apel i na tej zbiórce oddzielili, dzieci oddzielnie, kobiety oddzielnie, a mężczyzn - całkiem oddzielnie. Mężczyźni poszli do kopalni pracować, ich przydzielili do kopalni... Kobiety do piłowania drzewa, a dzieci, to znaczy, mam na myśli takie dzieci do dziesięciu lat, dziesięć - dwanaście lat mam na myśli, takie dzieci do szkoły przydzielono. Do szkoły trzeba było chodzić cztery kilometry. W górach po zamarzniętych tych drogach i tych zaspach strasznych, zawiejach. Co tu jeszcze? Ja, ponieważ już miałam wtedy trzynaście lat, poszłam do szkoły. Chodziłam do szkoły wieczorem, bo taka szkoła była dla tych starszych, które mogły pracować i mogły się uczyć, to była szkoła zrobiona w ten sposób, że w dzień chodziliśmy odsypywać ten śnieg, żeby drogi robić, żeby było przejście, ewentualnie przejazd jakiś. Ale jeśli nie było śniegu, to szliśmy w las i piłowaliśmy drzewo. Starsi piłowali, myśmy gałęzie ściągali i układali te drzewo. Teraz jeszcze chodziłam, a nam tę szkołę dla starszych zrobili, nie chodziliśmy cztery kilometry, tylko w naszym obozie... Była ta szkoła powołana z naszych nauczy-

cieli, którzy znali język rosyjski i mogli nas troszki przysposobić do języka rosyjskiego. Stąd mam to świadectwo szkolne z Syberii. Teraz... W czterdziestym pierwszym roku była amnestia... Aha, jeśli chodzi o traktowanie nas tam... Myśmy byli tak jakby ogrodzeni takim drutem, bo, dlaczego ogrodzeni, bo tam, gdzie myśmy się znajdowali, tam były tzw. złote kopalnie, "złote przizka". Więc abyśmy nie uciekli, po prostu dlatego byliśmy ogrodzeni... Żeby nie wywieźli tego złota, czy nie uciekli... I na każdym rogu stały takie stróżówki. A te stróżówki, tak jak w więzieniach, co to stróżówki i stoi tam z karabinem jeden żołnierz... Więc były psy. Tak, że nie było ucieczki żadnej stamtąd. Trzeba było do kopalni iść, no to i tak nigdzie nie uciekł. Oni wiedzieli o tym, bo oni nas obserwowali z tych swoich wieżyczek. No i tak myśmy żyli na tej Syberii. Jedzenie... Jeśli chodzi o jedzenie, jedzenie było bardzo skromne, tzn. dla pracującego było 400g chleba, dla niepracującego 200g. Chleb był bardzo ciężki, jak glina, bo był niewypieczony, tak, że zamiast 200g jego było 150, a gdzie 400 - to było 350, bo to ciężki... Śmiertelność była duża ze względu na to, że nie mieliśmy co jeść i organizmy nasze nie byli przystosowane do tak silnych mrozów. Do tego obozu było zawiezione 104 rodziny. Ile osób - nie pamiętam, to znaczy w ogóle nie znam tej liczby...

Miałam koleżankę, Czyżewską Leokadię, która już nie żyje. Matkajeszczce jej żyje, ona mieszka w Hajnówce... No tutaj u mnie rejestrował się pan doktor Szpakowicz, który był na jednym posesiołku, a jest obecnie lekarzem. On miał dziesięć lat, był młodszy ode mnie... A tak w ogóle rozproszeni są wszyscy, ponieważ bardzo dużo zostało za granicą. Ci, którzy wyjechali... Jak wyjeżdżali? Może w ten sposób ze Związku Radzieckiego, w jaki wyjechaliśmy w czterdziestym pierwszym roku. Gdzieś we wrześniu czy październiku przyjechał komendant do naszego obozu i powiedział... Tak, zrobił

zebranie i powiedział, że "od dzisiaj jesteście amnestirowani", że objęci, znaczy, jesteście amnestią i możemy poruszać się po całym Związku Radzieckim. Ja nie wiem, czy myśmy byli sądzeni, ja tych rzeczy po prostu nawet nie pamiętam, ja za młoda była. Jeśli pamiętają, to rodzice moi, a teraz rodzice już nie żyją... Mam mamę, która ma już sklerozę ciężką, zaawansowaną. Ma pięćdziesiąt jeden lat, to tam też zbytnio nie pamięta... W każdym razie nas objęto amnestią. I powiedzieli, że możemy się poruszać po całym Związku Radzieckim. Więc każdy starał się wyjechać z tego posiołku, w którym myśmy byli. W jaki sposób myśmy wyjeżdżali? Po tej zamarznętej rzece, co nas wieźli. To zbijali mężczyźni tratwy z tego drzewa, specjalne wiosła robili sobie i przygotowywali się w drogę. I po tej zamarznętej rzece właśnie przepłynęliśmy do tego miejsca, gdzie nas ładowano na ciężarówki. Ale po tej już otwartej rzece, nie zamarznętej... Ta rzeka miała i utajone różne swoje niebezpieczeństwa, jak miała na przykład: "mramorna jama", "rajskie worota" i jeszcze jakaś trzecia, no, nie pamiętam; gdzie, jeżeli dobrze nie umiał wiosłować, to... "Mramorna jama" podciągała się pod skały i rozbijały się tratwy. I dużo ludzi ginęło w ten sposób. Teraz "rajskie worota"... To z kolei taka spadzista rzeka była... Na przykład rzeka płynie i tu nagle taki spadek. I wtenczas, jak nie umiał wiosłować, jak nie umiał wykierować tą tratwą, to też się rozbijał i w ten sposób ginął... No, w każdym razie w ten sposób dużo ludzi powróciło do tego miejsca, z którego nas ładowano na te ciężarówki i po zamarznętej rzece wieźli nas. Natomiast dzieci i starcy... Był przewodnik i nas prowadził okrężną drogą po górach. Ale góry to tak wyglądały: tylko ścieżeczka, może jej wcale nie było, po jagodniku, trzeba się było trzymać za jagodnik, aby nie wpaść do rzeki. Nie jechało się rzeką, a jednak okrężną drogą szło się do tego samego miejsca...

I tak było, żeśmy przyszły z mamą do tego miejsca, a ojca mego i siostry nie było. Co się stało? Okazało się, że rozbici stojali na tym, na rzece. I później jacyś ruscy, co jechali na front z taką łodzią, oni się zlitowali i zabrali tych naszych rozbitków, i dowieźli do tego miejsca. Myśmy szli po tej rzece tą okrężną drogą, to jeśli zasnucujemy, to nam trzeba było... Rano wstajemy ~~z~~ - biały mróz. A nam trzeba było przejść tą rzekę. Ten przewodnik jak przeprowadzał nas on wiedział, gdzie płytką tą rzeką, to on nas prowadził... Ale tam woda była prawie po szyję i, żeby się nie potopić, to trzymaliśmy za ręce i tak przechodzili... Tam na brzegu od razu rozpalali ognisko i suszyli się. No i dobrnęliśmy. Później stamtąd wyjechaliśmy do Taszkientu, a z Taszkientu do Kaganu. W Kaganie jak myśmy siedzieli w tym parku, to już oni, ruscy, kazali iść do pracy. Ale nasi, Polacy, nie chcą pracować. Chcą handlować. Zaczęli handlować, zaczęli kraść, co swoją drogą było... bo tak, jak głodny człowiek, to musi i ukraść. Ale to nie kradł złota czy dolarów, tylko kradł chleb, żeby mógł się utrzymać. Oni widzą, że bieda, nie chcą iść do pracy i w ten sposób żyć. Pewnej nocy podwodnili ten park. Podwodnili ten park i myśmy się znaleźli wszyscy w wodzie. To wtedy, rad - niewola, trzeba było iść do kołchozu. Poszliśmy do kołchozu. W kołchozie... Byliśmy tam i co jakiś czas... Był żołnierz, kilka żołnierzy przyjechało i zaczęli agitować. Mówili: "Chcecie - to możecie wstępować do wojska i wyjedziemy za granicę". "To znaczy gdzie?" "Do Iranu." No, od razu stamtąd wyjechaliśmy do Buzułuku, to znaczy wyjechaliśmy z całą rodziną: i ja, i siostra, i mama, i tatuś. W Buzułuku mamę przyjęli na kucharkę do Dyonu Rozpoznawczego. Tatuś wstąpił do Wojska Polskiego, to znaczy, to była armia Sikorskiego tak zwana, pod dowództwem generała Andersa. Ja, jako młodociana, i siostra moja też, my wstąpiłyśmy do junaczek. I myśmy z tymi junakami i z cywilami przyjechałyśmy z Krasnowocka. Przez Morze Kaspijskie pły-

nęliśmy do Zatoki Perskiej. W Zatoce Perskiej myśmy przechodzili kwarantannę sześciotygodniową, gdzie najpierw zaprowadzili nas do łaźni i to, cośmy mieli na sobie, zdjęli, rzucili... Kto miał wszy we włosach - wszystkich pogolili pod zero. Naturalnie każda osoba miała te wszy, bo to i z nędzy, i z brudu, i z wszystkiego te wszy były... Więc jak myśmy wyszli z łaźni, to naszych ubrań nie było, bo były spalone. Natomiast dali kobietom po dwie koszule nocne, a mężczyznom po dwie piżamy na zmianę. Dali nam po dwa koce angielskie, bo tośmy byli już pod Anglikami, takie namioty, tylko były tak zwane szałas. Szalasy pobudowane były może to dla wojska, może to dla nas przygotowane... Tylko były takie pale przygotowane, na górze dach z takich mat słomianych, a na ziemi - normalnie - piasek żółty. Dlatego oni nam dali po dwa kocy, że jeden koc trzeba słać na ziemię, na ten piasek, a drugim żeby można się przykryć. I tak myśmy przechodzili te sześć tygodni. Ale w międzyczasie, w tych sześciu tygodniach, to oni dali bardzo tłuste wyżywienie. Anglicy takie tłuste wyżywienie dali, że nam nie odpowiadało po takich wygłodniałych kiszkach. Nam trzeba było systematycznie i dać najpierw nie takie tłuste te jedzenie. A ponieważ oni nas nakarmili tłustym - bardzo duża epidemia, krwawa dezynteria - i do piachu... Bardzo dużo, tam jest duży cmentarz w Pachlewie, Polaków poumierało właśnie przez te jedzenie, już w Iranie, już w Pachlewie w Zatoce Perskiej. Ja mam na gazetce ściennej, właśnie w związku z tym, że oni nas nakarmili za tłusto... Kto jeszcze pamiętał te jeszcze z czternastego roku wyjazdu do Związku Radzieckiego i podobną sytuację miał, to się ostrzegał, to po łyżeczce, po dwie tej zupy jadł i tak systematycznie zwiększał; to ci przeżyli. Ale ci, którzy od razu dopadli, najedli się tego jedzenia wysmienitego, oczywiście tłustego - - krwawą dezynteria i nie było już ratunku. Nie było możliwoś-

ci nawet leczenia. Następnie nas wywieźli do Teheranu stamtąd, po tej kwarantannie. W Teheranie poszliśmy do szkoły. Były tam obozy, obóz numer jeden, obóz numer dwa, trzy i był piąty obóz w Teheranie. W każdym obozie byli Polacy i w obozie numer trzy była szkoła. Do tej właśnie ja chodziłam. Mam zdjęcie z tej szkoły i dużo koleżanek z tego zdjęcia, bardzo mało jest w Polsce, a reszta jest w Argentynie, w Toronto, w Meksyku, w Palestynie zostały, w Teheranie zostały, powychodziły za mąż tam i sobie poukładały życie poza granicami.

No co tu jeszcze... Później nas wywieźli do Achwazu z Teheranu. Tam kilka miesięcy byli. W takich barakach po wojsku, spaliśmy na takich łózkach, no, polowych bym powiedziała. Do tego moskitery nam dawali, bo tam były falangi i skorpiony. To taki przyrząd był trzeba było spuszczać ten moskiter i podpychać pod pościel, żeby tam nie zalażł. Tak mieszkaliśmy tam chyba pół roku. Stamtąd wyjechaliśmy do Syrii, z Syrii do Bagdadu, z Bagdadu znowuż do Tel Awiwu. W Aleksandrii byliśmy też. Z Tel Awiwu, no, oczywiście, byliśmy w Barbarze w szkole u junaków i nas zabrano razem z ochronką do Indii. Później coś obmyśleli się i starszych zabrali do Tel Awiwu. Myśmy w Indiach byli miesiąc czasu i stamtąd z powrotem przyjechaliśmy. Już tam, po tej Barbarze, przydzielono mnie do 5 Dywizji Piechoty do Dyonu Rozpoznawczego i tam już byłam do końca wojny. Wróciłam do Polski w 1947 w styczniu. Ja wróciłam oddzielnie, razem z siostrą, a rodzice wrócili przez Iran i Związek Radziecki. Do Polski oni wrócili w 1946 roku w październiku.

Jeśli chodzi o tamte lata... ciężkie były i bardzo niemile je wspominam.